Grzegorz W. Kołodko

Pytanie o sens i potrzebę konstytucyjnego zapisu o społecznej gospodarce rynkowej w Polsce jest fundamentalne, intelektualnie frapujące, politycznie trudne i na pewno z prawniczego punktu widzenia bardzo skomplikowane. Nie wiedząc bowiem, czym w gruncie rzeczy jest społeczna gospodarka rynkowa, posługujemy się tym pojęciem – i to nie tylko w rozmowach, w mediach, lecz także w aktach prawnych najwyższej rangi, w tym również w Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej. A nie wiemy dlatego, że jest to pojęcie miękkie. I takim pozostanie ze względu na naturę kategorii, którą próbuje się nim opisać, gdyż rozmaite są i będą w przyszłości jej interpretacje – zarówno na gruncie prawa, jak i ekonomii, tudzież innych nauk społecznych. Odmiennie zdefiniowałby tę kategorię socjolog albo historyk, inaczej antropolog, filozof lub politolog, a jeszcze inaczej teolog.

Nie jest to trudność oryginalna, nie pojawia się po raz pierwszy. Weźmy chociażby dużo starszą od naszej, już ponad dwuwiekową Konstytucję USA. Amerykanie bynajmniej nie wpisali sobie do ustawy zasadniczej „społecznej gospodarki rynkowej", ale za to zawarli w niej imperatyw dążenia do „sprawiedliwości dostępnej dla wszystkich" i do „ogólnego" dobrobytu. Czy łamie się tam konstytucję, skoro rzeczywistość wcale takiego dążenia nie potwierdza, a dobrobyt okazuje się nieosiągalny nawet w wymiarze pokoleniowym dla znacznej części społeczeństwa?

Wystarczy spojrzeć, jak niesprawiedliwie dzielone są efekty wzrostu wydajności pracy i, w rezultacie, PKB. Trzy dekady temu, w roku 1980, przeciętne wynagrodzenie szefów firm (CEO, ang. Chief Executive Officers) było czterdzieści dwa razy większe od średniej płacy. Po dwudziestu latach relacja ta przekroczyła 530, a po następnej dekadzie jest jeszcze większa. Realne wynagrodzenie przeciętne rosło w tym czasie w ślimaczym tempie 0,3 procent rocznie, podczas gdy gratyfikacja prezesów firm aż o 8,5 procent. W rezultacie średnia płaca jest po trzydziestu latach zaledwie o 27 procent wyższa, a gratyfikacje menedżerów i prezesów aż o ponad 1000 procent. Ta pierwsza o jedną czwartą, te drugie jedenastokrotnie…

Podobnych przykładów wielkiego rozdźwięku między szumnymi konstytucyjnymi deklaracjami i smętną rzeczywistością jest na świecie więcej. Ale to nikogo nie usprawiedliwia i nie zwalnia – również nas – z obowiązku dbałości o spójność społeczną i kreowanie rzeczywistości przynajmniej zgodnie z duchem, jeśli nie udaje się zgodnie z literą konstytucji.

Na konferencji na temat dwudziestolecia obrad Okrągłego Stołu, w których uczestniczyłem, zorganizowanej w Polskim Towarzystwie Ekonomicznym 4 czerwca 2009 roku, dokładnie dwie dekady po wyborach z czerwca 1989 roku, przywołałem słowa o społecznej gospodarce rynkowej jako przykład martwego zapisu w konstytucji. Wskazywałem, że nie ma orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego kwestionujących jakieś ustawy czy inne akty prawne z powodu ich niezgodności z tym przepisem. W związku z tą wypowiedzią zostałem pozwany przed oblicze Wysokiego Trybunału, a dokładniej zaproszony na specjalne seminarium w celu wygłoszenia wykładu i przedstawienia swojej interpretacji zagadnienia.

Trudność z określeniem, co należy przez tę kategorię rozumieć, polega na tym, że mamy do czynienia ze zbitką słów, która już sama w sobie sugeruje wymóg podejścia aksjologicznego, z jednej strony, i prakseologicznego, z drugiej. Chodzi równocześnie – w tej samej rzeczywistości społecznej, ekonomicznej i prawnej – zarówno o przyświecające ludziom wartości, jak i o skuteczność podejmowanych działań. Jeśli mówimy o gospodarce „społecznej", to w istocie już zaczynamy wartościować. Mamy jakiś system wartości, a więc jakąś aksjologię. Samo słowo „społeczny" sugeruje coś ponad pieniądze i zyski, bo kojarzy się ze zbiorowością, wspólnymi

interesami, spójnością, nadrzędnością dobra ogółu nad jednostką. A jeśli mówimy o „rynku", to podchodzimy do gospodarki bardzo praktycznie. Od razu słychać w tym troskę i o efektywność, i o równowagę, o sensowne, opłacalne relacje ponoszonych nakładów i uzyskiwanych efektów, co jest niezbędnym warunkiem sprawnego funkcjonowania całego układu gospodarczego, także w jego szerszym, humanistycznym, by nie rzec znów „społecznym" ujęciu.
Z tego punktu widzenia polityczna decyzja o zapisie w konstytucji przesłania, że aktywność ekonomiczna opiera się na społecznej gospodarce rynkowej – bez klarowności, czego to dotyczy – była ryzykowna. Nic przeto dziwnego, że jest to zagadnienie kontrowersyjne i z biegiem czasu, w miarę nabierania doświadczenia i poszerzania pola obserwacji staje się coraz bardziej dyskusyjne.
Skąd się wzięło to pojęcie i jaka jest jego historia? Skąd przywędrowało do Polski? Skąd biorą się problemy z jego interpretacją?
W literaturze ekonomicznej społeczna gospodarka rynkowa jest najczęściej traktowana jako coś, co zostało sprecyzowane w teorii i po części wprowadzone w praktyce w Republice Federalnej Niemiec, kiedy poszukiwano tam teoretycznego i praktycznego sposobu połączenia neoklasycznej myśli ekonomicznej, wyrosłej na gruncie anglosaskim, z myślą tak zwanej historycznej szkoły niemieckiej. Pierwsza zajmowała się gospodarowaniem, bardzo wąsko rozumianym, abstrahując od aspektów społecznych, druga zaś obracała się bardziej w kategoriach tego, co byśmy nazwali ekonomią polityczną, pokazującą grę interesów, wokół których toczy się działalność gospodarcza.
Doprowadziło to do powstania koncepcji, którą nazwano ordoliberalizmem. Człon „ordo" wskazuje na zespół powiązań właściwych liberalnie funkcjonującej gospodarce tworzącej pewien kompozyt, jakąś całość skonstruowaną pod kątem zaspokajania określonych potrzeb. Przy czym ordoliberalizm – to trzeba bardzo mocno podkreślić – eksponował wolność, prywatną własność, swobodę, odżegnując się wręcz od interwencjonizmu państwowego ponad to, co jest tworzeniem zasad, reguł gry.
W niemieckim przypadku ów model przez jakiś czas funkcjonował i niektórzy dzisiaj także w Polsce wciąż go przywołują jako wzór godny naśladowania. Jest to błąd logiczny, ponieważ niemiecki ordoliberalizm istniał w konkretnym czasie i w konkretnej przestrzeni. Nie ma już jednak ani tego czasu, ani tej przestrzeni, nie ma bowiem tamtej, sprzed zjednoczenia, Republiki Federalnej Niemiec, nie ma lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Jest za to początek XXI wieku, kiedy gospodarka staje się coraz bardziej ogólnoświatowa, z silnymi wewnętrznymi powiązaniami wynikającymi z procesu globalizacji.
Ordoliberalizm i społeczną gospodarkę rynkową w wydaniu niemieckim mocno stymulowało istnienie innej opcji w postaci realnego socjalizmu czy, jak wolą to nazywać niektórzy, komunizmu. Dlatego w epoce tamtego realnego kapitalizmu naciski na chociażby politykę pełnego zatrudnienia albo większą dozę opiekuńczości państwa były bardzo silne. Kapitalizm chciał poprzez ordoliberalizm pokazać, że pełne zatrudnienie bynajmniej nie jest wyłącznie przymiotem planowej gospodarki socjalistycznej. Z czasem nacisk ze strony realnego socjalizmu słabł i w końcu wraz z upadkiem formacji przestał istnieć.
Dotknęliśmy w tym kontekście kwestii państwa opiekuńczego. Na pewno państwo opiekuńcze nie jest tożsame ze społeczną gospodarką rynkową. Są pewne obszary, które się w tych dwóch pojęciach pokrywają, ale państwo opiekuńcze jest również przejawem odejścia od społecznej gospodarki rynkowej. Zasadniczo powinna ona kojarzyć tworzenie warunków do rozkwitu przedsiębiorczości opartej na prywatnej, choć nie tylko, własności środków produkcji funkcjonującej w warunkach wolnej konkurencji rynkowej z dzieleniem owoców tej

przedsiębiorczości w sposób społecznie akceptowany. Chodzi tu o akceptowanie przez społeczeństwo jako całość i przez jego podstawowe odłamy – grupy zawodowe i dochodowe oraz regiony. Możliwy bowiem jest taki sposób funkcjonowania rynku, którego skutków społeczeństwo nie aprobuje i uważa, że ustrój jest niesprawiedliwy.
Dlatego nie można mówić o społecznej gospodarce rynkowej, nie przywołując kolejnego pojęcia, które również jest bardzo miękkie i musi wywoływać dysputy, od filozoficznych po matematyczne, a mianowicie pojęcia sprawiedliwości. O tym co jest, a co nie jest sprawiedliwe, państwo może rozstrzygać pro publico bono tylko przy sprawnie funkcjonującej demokracji. Musimy wobec tego poczynić kolejne założenie, że ona w rzeczywistości taki właśnie ma charakter. Ale czy ma?

* * * *

W Polsce pojęcie społecznej gospodarki rynkowej pojawiło się i nabrało barw przy okazji obrad Okrągłego Stołu. Wtedy jednak nie zostało sprecyzowane. Wówczas inne sprawy wydawały się jeśli nie ważniejsze, to na pewno pilniejsze. Dlatego określenie „społeczna gospodarka rynkowa" okazało się wytrychem, którym posługiwano się dość dowolnie, bez wchodzenia w istotę rzeczy, bez wnikania w głąb, bez właściwego nauce i prawu rygoryzmu definicyjnego. Przyjmowano, że wszyscy uczestnicy obrad – mający przecież różne orientacje ideowe i rozmaite poglądy szczegółowe – zgadzają się co do tego, iż o tak zwaną społeczną gospodarkę rynkową nam mniej więcej w polskiej przyszłości ekonomicznej chodzi. O tak zwaną, czyli że ma być efektywniej, ale na pewno ze społeczną troską, czyli że ma być również sprawiedliwiej. I tu zaczyna się permanentna debata, czy efektywniej może być sprawiedliwie, czy sprawiedliwie może być efektywniej. Siebie plasuję wśród tych, którzy uważają, że tak – taka pozytywna synergia jest możliwa. Nie widzę sprzeczności pomiędzy zadbaniem o efektywność ekonomiczną, którą ma zapewniać mechanizm rynkowy, a troską o społeczną spójność, co ma zapewniać z kolei funkcjonowanie państwa prawa, na straży czego stoi konstytucja.
Oczywiście, do tego niezbędny jest także określony system wartości, zależny nie tylko od tego państwa i od tego prawa, lecz także od kultury w jej najogólniejszym znaczeniu. W konstytucji nie da się jej zadekretować. Nie udało się to przez dwa wieki Amerykanom, nie mogło się udać przez jedno pokolenie Polakom. Pożądany system wartości brać się musi z ludzkiej chęci i wewnętrznych przekonań, a nie z przymusu wynikającego z narzucenia takich, a nie innych kanonów prawnych – czy to w konstytucji, czy w aktach niższego rzędu.
W kilka miesięcy po zwieńczonym historycznym porozumieniem Okrągłym Stole premier Tadeusz Mazowiecki w swoim exposé powiedział, że celem jego rządu będzie budowa społecznej gospodarki rynkowej. Powiedział – i na tym na jakiś czas się skończyło. Stało się to początkiem wielu problemów, dlatego że linia polityki, którą urzeczywistniano potem – mam na myśli pierwsze rządy po Okrągłym Stole, poczynając od premiera Mazowieckiego poprzez premiera Bieleckiego po premier Suchocką – stanowiła istotne odejście od próby poszukiwania recepty na stworzenie społecznej gospodarki rynkowej. Deklaracja sobie, rzeczywistość sobie. W praktyce i w ustawodawstwie służącym tej praktyce, a przede wszystkim w polityce uprawianej w ramach takich regulacji, jakie wtedy były i jakie wówczas tworzono, poszliśmy w kierunku neoliberalnego modelu gospodarki rynkowej. W nim sytuacja społeczna jest bardziej pochodną pogoni za zyskiem niż autentycznej troskliwości o społeczeństwo. Z zachłanności uczyniono zaletę, która ma być siłą napędową agresywnej przedsiębiorczości. Na dobrą, a raczej na złą sprawę na spójność społeczną nie ma w takim systemie miejsca. A jeśli potem

pojawia się o nią troska, to bardziej na zasadzie zabiegu politycznego czy socjotechnicznego niż szczerej dbałości o spójność, której sprawiedliwość społeczna jest niezbywalnym elementem.
Później próbowaliśmy zmienić tę sytuację, zarówno w praktyce politycznej, jak i w ustawodawstwie. Ale społecznej gospodarki rynkowej nie zbuduje się przez okres kadencji parlamentarnej czy jednego albo dwóch epizodów rządowych. Aby stworzyć taką, jaka jest, dajmy na to, w krajach skandynawskich, trzeba co najmniej pokolenia. Wysiłki, nawet największe, w czasie jednej kadencji nie wystarczą. Ponadto musi istnieć odpowiednie otoczenie kulturowe, które ponad drugorzędnymi podziałami politycznymi i ponad sprzecznościami doraźnych interesów ekonomicznych potrafi łączyć podstawowe grupy społeczne we wspólnym wysiłku w imię pewnego nadrzędnego celu, dla urzeczywistnienia wizji pokazującej, że można być bardzo efektywnym ekonomicznie, a zarazem spójnym społecznie. Innymi słowy, społeczna gospodarka rynkowa jest niemożliwa bez odpowiedniego, wysokiej klasy kapitału społecznego.
Nowoczesne, zintegrowane podejście do strategii rozwoju musi przeto uwzględniać nie tylko kapitał finansowy i rzeczowy, ale również ludzki i – jeszcze szerzej – społeczny. Zarazem warto przestrzec przed pojawiającą się niekiedy skłonnością do przypisywania zbyt wielkiego znaczenia „miękkiemu" kapitałowi społecznemu i odrywania się od imperatywu opierania rozwoju na „twardym" kapitale rzeczowym i finansowym. Koniec końców kapitał społeczny musi być finansowany w sposób zrównoważony. Dlatego nie ma nic lepszego niż dbanie o dynamiczną równowagę pomiędzy różnymi formami kapitału – przyrodniczym, rzeczowym, finansowym, ludzkim, społecznym – bo wszystkie są niezbędne w procesie reprodukcji i żaden nie jest najważniejszy.
I to trzeba wyraźnie podkreślić, tym bardziej że kraje nordyckie, które urzeczywistniły model społecznej gospodarki rynkowej, znajdują się bez mała pod każdym względem na szczycie piramidy światowej. Plasują się na pierwszych miejscach, jeśli chodzi o wydajność, konkurencyjność, efektywność, poziom produkcji i stabilność finansową. Górują nad innymi w dziedzinie ochrony środowiska naturalnego oraz przeciwdziałania korupcji i przestępczości. Szczycą się osiągnięciami w edukacji i internetyzacji. Ich społeczeństwa tradycyjnie już są zaliczane do najszczęśliwszych na świecie. Taka pieczołowitość społeczna, wynikająca z praktyki skandynawskich socjaldemokracji – choć i inne formacje ideowo-polityczne, przy wszystkich typowych dla siebie niuansach, szły tam zgodnie tym kursem – nie obniża efektywności i konkurencyjności, a wręcz odwrotnie: na długą metę im sprzyja, czego dowodzi wysoki poziom produkcji i konsumpcji i jeden z najwyższych na świecie standardów życia ludności.
U nas, po kilkuletnich wysiłkach okresu Strategii dla Polski, zeszliśmy z linii budowy społecznej gospodarki. Stało się to w sposób, który nie jest jeszcze obiektywnie przeanalizowany i opisany przez ekonomię i inne nauki społeczne, a tym bardziej przez historię, ponieważ trzeba mieć dużo większy dystans czasowy i emocjonalny do tych procesów. Wiadomo jednak, że na przełomie wieków mieliśmy do czynienia ze skrzyżowaniem nawracającego neoliberalizmu z prawicową opcją populistyczną, która wyrastała pod wpływem formacji Akcja Wyborcza Solidarność, AWS.
Populizm – obojętne, lewicowy czy prawicowy – niewiele ma wspólnego ze społeczną gospodarką rynkową. Podejmowane na niwie polityki społecznej populistyczne próby łagodzenia uciążliwości związanych z wdrażaniem rynkowej gospodarki kapitalistycznej – na przykład wprowadzenia powszechnego uwłaszczenia czy intencjonalnie bardziej opiekuńczego

działania mechanizmów redystrybucyjnych i polityki budżetowej – powodowały iskrzenie na styku z dominującym podejściem. W rezultacie powstała swoista hybryda, mająca zarówno elementy społecznej gospodarki rynkowej, jak i określone atrybuty neoliberalizmu. Twór taki był niespójny, a bezsprzecznie nieodzowną cechą społecznej gospodarki rynkowej, usiłującej łączyć dbałość o efektywność z pieczą nad równowagą społeczną, jest wewnętrzna spójność i kompleksowość.

Potem, przez zbyt krótki okres realizacji Programu Naprawy Finansów Rzeczypospolitej, niewiele udało się osiągnąć, by skierować kraj w sposób dynamiczny i nieodwracalny na drogę budowy społecznej gospodarki rynkowej. Próba ta wniosła pewien wkład do tego dzieła, ale ponownie, choć w innej konfiguracji politycznej, w końcowych latach pierwszej połowy dekady nakładały się na siebie elementy ideologii i praktyki populistycznej (tym razem lewicowej) i neoliberalnej.

Wtedy też szybko nadchodził następny już etap transformacji ustrojowej. Trwa on nadal i trwał będzie w dającej się przewidzieć przyszłości, gdyż wiąże się z członkostwem w Unii Europejskiej. Unia to konglomerat, który współtworzą również państwa opierające swoje funkcjonowanie na ideałach społecznej gospodarki rynkowej. Współcześnie w większym stopniu dotyczy to krajów skandynawskich niż Niemiec, które poszły w kierunku państwa opiekuńczego i obecnie mają coraz bardziej mieszany charakter. Ale Unia Europejska zrzesza też państwa o innych modelach, z odmiennymi wartościami właściwymi innym typom gospodarki kapitalistycznej, ponieważ kapitalizm niejedno ma oblicze, o czym się przekonaliśmy i będziemy się jeszcze niejednokrotnie przekonywali.

Czy wobec tego w Polsce – współcześnie i w wyobrażalnej przyszłości – jest miejsce na społeczną gospodarkę rynkową? Uważam, że tak. Czy należy wołać o usunięcie mówiącego o niej zapisu z konstytucji jako nieżyciowego? Uważam, że nie. To, że nie udało się stworzyć społecznej gospodarki rynkowej przez ostatnie dwadzieścia lat, a tym bardziej wcześniej, nie oznacza, iż powinniśmy z tego zamiaru zrezygnować. Widocznie potrzeba nam kolejnych dwudziestu, a może i więcej, ponieważ zaiste jest to przedsięwzięcie na miarę pokoleniową.

Dlaczego do tej pory nam się to nie udało? Po pierwsze z tego względu, że w tej fazie dziejów – w ferworze sporów pomiędzy różnymi systemami wartości i różnymi opcjami politycznymi – siła zderzających się partykularnych, grupowych interesów ekonomicznych była większa niż ogólnospołeczna konsekwencja w urzeczywistnianiu jednej wizji posocjalistycznej gospodarki rynkowej.

Po drugie dlatego, że przecież posocjalistyczna transformacja nie jest oderwana od szerszego kontekstu procesów globalnych. W szczególności w naszej części świata przekształcenia systemowe w dużym stopniu przebiegają pod wpływem impulsów, nacisków, presji, sugestii, a niekiedy wręcz wymogów zewnętrznych. I tak się akurat złożyło, że kiedy premier Tadeusz Mazowiecki deklarował – być może z najlepszą wolą – iż chciałby, aby jego rząd budował społeczną gospodarkę rynkową, pod którą podwaliny w jakimś stopniu położono już wcześniej dzięki reformom lat osiemdziesiątych, to inni chcieli czego innego. I ci inni, jak się okazuje, mieli więcej do powiedzenia, co dla wielu było i pozostaje źródłem rozczarowania.

Kiedy Niemcy jeszcze funkcjonowały w ramach zasadniczo społecznej gospodarki rynkowej, opartej na ordoliberalizmie, choć już dążyły w kierunku coraz to bardziej rozbudowywanego państwa opiekuńczego, zmieniła się inna wielka karta historii. Doszło do zjednoczenia naszych zachodnich sąsiadów. Było to niezwykle kosztowne. Od tamtego momentu do tej pory wydano na integrację Niemiec ponad półtora biliona euro. To w dziejach rynku najbardziej kosztowne przejęcie, gdyż do tego w istocie sprowadza się tzw. zjednoczenie.

I tak Niemcy zajęli się sprawą niemiecką, Japończycy sprawą japońską – ponieważ weszli w swój własny, kilkunastoletni kryzys strukturalny – kraje skandynawskie z kolei miały bardzo niewiele do powiedzenia na arenie międzynarodowej, bo – choć znakomicie rządzone, zorganizowane i społecznie zintegrowane – są małe, a więc w skali światowej także słabe. Na dodatek Szwecja uwikłana była w rozległy kryzys bankowy, a Finlandia targana negatywnymi dla niej konsekwencjami rozkładu Związku Radzieckiego, który wcześniej, poprzez specyficzne stosunki handlowe (inspirowane polityczną chęcią wzorowego ułożenia relacji z państwem zachodnim) wspomagał fiński bilans płatniczy. Natomiast bardzo wiele do powiedzenia miała potęga amerykańska i brytyjska. Akurat w tym historycznym momencie kraje te miały zasoby, czas i interes.
To dlatego właśnie nurt, który wówczas tam dominował, wiążący się politycznie z reaganomiką w USA i thatcheryzmem w Wielkiej Brytanii, został tak łatwo zaszczepiony na niektórych terenach posocjalistycznych, w tym szczególnie w Polsce na początku lat dziewięćdziesiątych i, ponownie, choć już z domieszką populizmu, w ich końcu. Oddziaływał on z rozmaitą siłą – raz mocniej, raz słabiej – w różnych kręgach intelektualnych, politycznych, medialnych i biznesowych przez całe minione dwudziestolecie. Ślady tego – i, niestety, skutki – widać do dziś.

* * * *

Wszystko to dzieje się w epoce globalizacji, megatrendu kumulującego w wymiarze światowym procesy liberalizacji i integracji. Model anglo-amerykański, wyrosły po części na monetaryzmie i ekonomii strony podażowej, zdominował tę fazę globalizacji. Funkcjonująca pod koniec pierwszej dekady XXI wieku globalna gospodarka ma znamiona zdecydowanie bardziej neoliberalne niż społeczne. Ludzkość nie potrafiła stworzyć sobie planetarnej społecznej gospodarki rynkowej.
Nasuwa się wobec tego nowe pytanie i to w jego kontekście trzeba postrzegać Polskę oraz jej przyszłość za lat trzy, trzynaście i trzydzieści. Czy istnieje w ogóle taka możliwość, czy jest szansa, aby powstała globalna społeczna gospodarka rynkowa? Skoro mamy globalną gospodarkę rynkową – taki ogólnoświatowy już kapitalizm – to czy z czasem można mu nadać kształt utożsamiany ze społeczną gospodarką rynkową? A może trzeba od razu przyjąć, że jest to kolejna wielka utopia, której lepiej się wystrzegać?
Globalizacja to tryumf kapitalizmu, który z natury rzeczy jest oparty na gospodarce rynkowej, czyli deregulacji, motywie zysku i dominacji prywatnej własności środków produkcji. Wobec tego jaki kapitalizm jest przyszłością świata? Czy gospodarkę można nasycać treściami społecznymi w wymiarze planetarnym – przydawać jej spójności społecznej, sprawiedliwości, zmniejszać nierównomierność podziału dochodów i majątku? I takie głosy słychać. Choćby w Kopenhadze na szczycie klimatycznym w końcu 2009 roku czy przy okazji nawrotu dyskusji o podatku Tobina, którego zastosowanie z jednej strony ostudziłoby temperaturę spekulacji finansowych będących pożywką neoliberalizmu, a z drugiej przyniosło środki na ograniczanie zakresu wykluczenia społecznego, który neoliberalna gospodarka poszerza. To są zasadnicze pytania stojące przed rodzajem ludzkim.
Nie powinniśmy dyskutować o iluzjach, ponieważ ani nie ma to sensu, ani nie ma na to czasu. Potrzebna jest za to dalekosiężna wizja. Dość już mieliśmy rozmaitych rozczarowujących doświadczeń, łącznie z uleganiem ułudzie utopii. Jedna z nich – komunizm – odeszła w przeszłość, ale pamięć o nim jest żywa i wciąż kładzie się cieniem na sposobie myślenia o

wspólnych sprawach i na praktyce życia publicznego. Ostatecznie odejdzie do lamusa historii również druga wielka utopia – upadający neoliberalizm, który pozostawia po sobie tak marną spuściznę. To ostatnia wielka utopia XX wieku – niedobitki jej wyznawców wciąż dają o sobie znać na początku wieku XXI – w cyniczny sposób wykorzystująca takie wspaniałe hasła uczciwego liberalizmu, jak wolność i demokracja, przedsiębiorczość i prywatna własność, konkurencja i zysk. Czyni to w celu maksymalizacji przychodów wąskich elit, i tak już nieźle finansowo i gospodarczo wysforowanych w dziejowym procesie rozwoju, kosztem większości społeczeństwa. Oczywiście, neoliberalizm bynajmniej nie jest utopią dla dobrze na nim wychodzących rzeczników tej doktryny. Z punktu widzenia ich interesów jest on jak najbardziej użyteczny.

Życzyć sobie wypada przeto, byśmy teraz nie tworzyli kolejnej utopii – utopii światowej społecznej gospodarki rynkowej. Na to się nie zanosi i do tego nie dojdzie. Jednak dążenie do społecznej gospodarki rynkowej – efektywnej i sprawiedliwej – jest wizją, a nie iluzją. Trzeba tylko mieć przy tym świadomość, że to już nie jest wewnętrzna kwestia państwa narodowego, społeczeństwa określonego kraju i jego władz oraz elit. Współcześnie – inaczej niż było to w drugiej połowie minionego stulecia w przypadku Niemiec, Austrii, Skandynawii, a po części również niektórych innych państw Zachodniej Europy czy nawet Kanady i Nowej Zelandii – tworzenie od strony realnej i instytucjonalnej zrębów i fundamentów, a potem całego gmachu społecznej gospodarki rynkowej uwikłane jest w implikacje ponadnarodowe, ponieważ jesteśmy uczestnikami większej gry politycznej i ekonomicznej. Gry europejskiej i ogólnoświatowej.

Z tego punktu widzenia szanse na stworzenie w przyszłości społecznej gospodarki rynkowej w Polsce zwiększa nasza przynależność do Unii Europejskiej. W jej łonie, w stosowanych rozwiązaniach instytucjonalnych i rozstrzygnięciach polityki, takie wartości, jak spójność społeczna czy równowaga ekologiczna – o co przecież się troszczymy, może nie najlepiej, ale jednak – nie są hasła nie bez pokrycia. To ciekawe, a zarazem inspirujące i obiecujące, że pewne rozwiązania, które w Polsce koniec końców znajdują zastosowanie, biorą się z unijnej siły przebicia. Są one bardziej skutkiem zewnętrznego nacisku – tym razem pozytywnego, twórczego i postępowego – niż naszej własnej, oddolnej inicjatywy.

Niezależnie zatem od udzielenia ostatecznej odpowiedzi – bo na to przyjdzie jeszcze czas – na pytanie czy słusznie zapisaliśmy w Konstytucji Rzeczypospolitej, że w Polsce ma funkcjonować społeczna gospodarka rynkowa, warto w tym kierunku zmierzać. Historia pokazuje, że jest możliwa praktyka rynkowa, której efektywność nie stoi w sprzeczności ze sprawiedliwością. Wręcz odwrotnie: przy odpowiednich regulacjach i parametrach polityki makroekonomicznej obie mogą się wzajemnie wspomagać. Choć daleko nam do skandynawskiego poziomu rozwoju i inaczej potoczyła się nasza historia, to warto czerpać z doświadczeń krajów, których gospodarki znakomicie sobie radzą w warunkach nasilającej się globalnej już rywalizacji, a zarazem towarzyszy temu autentyczna dbałość o sprawiedliwość. Trzeba zatem trwać w staraniach o konsensus, bez którego dyskusja o wdrażaniu atrybutów społecznej gospodarki rynkowej może się okazać bezproduktywna.

Błędem natomiast wydaje się zapis zawarty w artykule 20 naszej konstytucji orzekający, że społeczna gospodarka rynkowa ma się opierać na własności prywatnej. Dlaczego w ten sposób wyklucza się, a co najmniej dyskryminuje inne formy własności? Tego nie zrobili ani Finowie, ani Szwedzi, tego nigdy też nie zrobili Niemcy i Austriacy. Czy własność spółdzielcza albo komunalna, a w określonych przypadkach także ogólnonarodowa własność państwowa nie może sprzyjać spójności społecznej? Czy jest zaprzeczeniem efektywności? Tego żaden rozsądny ekonomista nie powie. Sądzę, że nastąpiło tutaj swoiste ideologiczne „przegięcie". Nie

powinno się to zdarzyć w ogóle, a w konstytucji Polski w szczególności.
Abstrahując od ustawy zasadniczej, trzeba zatem nieustannie baczyć, żeby wchodzące w życie regulacje prawne sprzyjały poczuciu sprawiedliwości ekonomicznej i wzmacnianiu spójności społecznej. Oczywiście, troszcząc się przy okazji o to, o co my – ekonomiści pragmatycy – zawsze wołać będziemy: jak najwięcej zdrowej przedsiębiorczości i konkurencyjności, gdyż tylko dzięki temu można osiągnąć wzrost produkcji, a zrównoważony rozwój społeczno-gospodarczy.
Społeczna gospodarka rynkowa w Polsce i innych krajach posocjalistycznych ma przed sobą przyszłość, jeśli zaś chodzi o przeszłość, to nie dała się wyraźniej zauważyć. Paradoksalnie, po z górą dwu dekadach wielkich przemian ustrojowych, nasuwa się pytanie zasadnicze: do jakiej gospodarki rynkowej mamy dojść w tej części świata? Realny kapitalizm bowiem – ten istniejący naprawdę, a nie opisany w podręcznikach jako model konkurencji doskonałej – niejedną ma twarz. Podobnie jak niejedną miał realny socjalizm, znany z autopsji coraz mniejszej liczbie ludzi, bo czas przecież robi swoje. Choć wydaje się, że dobrze wiemy, od czego odeszliśmy pokolenie temu, wciąż nie mamy pełnej jasności, do czego zmierzamy.

***Grzegorz W. Kołodko**, prof. dr hab. ekonomista, działacz państwowy, dyrektor Instytutu TIGER.*

**Od redakcji.** Publikowany artykuł jest fragmentem najnowszej książki prof. Grzegorza W. Kołodko „Świat na wyciągnięcie myśli”, która ukaże się w październiku 2010 roku.